



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 90. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Dawid Teniers (komedia dokończenie). — Rycerz Mora (dalszy ciąg). — Ranek (wiersz). — Teatr Rossyjski w Warszawie. — Teatra ogródkowe. — Wiadomości z pod naszej strzechy i z obczyzny. — Z dziedziny humorystycznej. — Od Redakcyi. — Zawiadomienie. W Dodatku: Helena Clifford (arkusz 2).

DAWID TENIERS.

PRZEZ

Edwarda Noel i Lucyana Paté.

PRZEKŁAD

Seweryny Duchieńskiej.

(Dokończenie.)

SCENA X.

Baron, Teniers.

BARON.

Pan jesteś prawy człowiek i kupiec uczciwy.

TENIERS.

Do usług.

BARON (ukazując portret pani Teniers).

Ja ten portret chcę nabyć.

TENIERS (na stronie).

Szalony!
Tego już tylko brakło!... portret mojej żony!

BARON.

Chcę pan kupić go dla mnie.

TENIERS (na stronie).

Czy mnie ucho zwodzi?

BARON (podając mu worek ze złotem).

Weź pan.

TENIERS.

Proszę wybaczyć...

BARON.

Co to panu szkodzi.

Z moich przygód miłosnych jam znany, niestety!
Gdybym sam kupił obraz tej pięknej kobiety,
Dopieroż-by gwarzyły kumoszki po mieście!...
Pan, to całkiem rzecz inna... Przystańże nare-
[szcie.

TENIERS (na stronie).

Zuchwalec!...

BARON (wciskając mu worek).

No i jakże?

TENIERS (na stronie).

Dziwnej chce posługi. Do porządku, panowie!

(Głośno, ukazując portret własny.)

Czy mam zaliczować i ten portret drugi?

BARON (śmiejąc się).

Co? ów portret małżonka z postacią tak smutną?
Nie mi po nim. Dla siebie zostaw pan to płótno.

TENIERS (zapominając się).

Z jakąż bym mu rozkoszą pogruchotał kości!...

(Baron patrzy mu w oczy.)

Ja mówię o małżonku.

BARON.

Pan nie masz litości...

On już umarł nieborak i nikt nie zaprzeczy,
Że to był wielki malarz.

TENIERS (na stronie).

No, zna się na rzeczy.

SCENA XI.

W s z y s c y.

WOŹNY.

BARON (cicho do pani Teniers).
Dziś w wieczór spotkanie.
PANI TENIERS (półgłosem).
Tak, na zawsze!...
TENIERS (który ich podsłuchiwał, na stronie).
Zobaczmy!...
SAMUEL (cicho do Teniersa).
Rozumiesz mnie, panie.
TENIERS.
Doskonale rozumiem.
WOŹNY.
Uderza godzina
Proszę milczyć, panowie, sprzedaż się zaczyna.
SAMUEL.
Tem lepiej, usunąłem już główne przeszkody.
WOŹNY.
Baczność!... Kto pragnie nabyć to „Wnętrze go-
[spody”:
Gawiedź siedzi za stołem, gra i piwo pije.
GŁOS Z TŁUMU.
Dam florenów czterdzieści.
INNY GŁOS.
Ja targu dobiję
Za sto.
SAMUEL.
Dam sto dwadzieścia.
GŁOS Z TŁUMU.
A ja całe dwieście!
INNY GŁOS.
Ja dam dwieście pięćdziesiąt.
SAMUEL.
Jam gotów nareszcie,
Aby nie tracić czasu, dać florenów trzysta.
TENIERS (na stronie).
Gdym żył, dawał mi dziesięć. Ba... rzecz oczy-
[wista
Górą trup!... tak bywało, i zawsze i wszędzie.
WOŹNY.
Kto da więcej?
(Ogólne milczenie.)
(Do Samuela.)
Pan kupił.
VAN BEVERNING.
Sprzedaż dobra będzie.
(Ogólne zadowolenie w tłumie, Samuel płaci, Te-
niers patrzy na żonę rozmawiającą z Baronem.)
WOŹNY.
Teraz „Święty Antoni”, celne arcydzieło.
VAN BEVERNING.
Radziłem z magistratem i na tem stanęło,
Że mam ten obraz nabyć za dziesięć tysięcy
Dla miasta.
SAMUEL.
Co? aż tyle?
TENIERS (do Samuela).
On wart trochę więcej.
(Głośno.)
Ofiaruję piętnaście.

SAMUEL (na stronie).
Wart dwadzieścia może.
Aj, aj, gotowi zdmuchnąć!...
(Głośno)
Ja jeszcze dołożę
Pięć tysięcy.
VAN BEVERNING.
Pięć jeszcze.
SAMUEL.
Ja daję trzydzieści.
(Cicho do Teniersa.)
Bez straty... mogę ręczyć, obraz się pomieści.
VAN BEVERNING.
Trzydzieści pięć!
(Milczenie.)
WOŹNY.
Kto więcej?... nikt... a zatem basta,
Burmistrzowi ten obraz przysądzon dla miasta.
(Poruszenie radosne w tłumie.)
BARON (do pani Teniers).
Pięknie losy sprzyjają tej sprzedaży waszej.
WOŹNY.
Dwadzieścia płócien na raz, dwadzieścia kierma-
[szy,
Dwa tysiące florenów.
SAMUEL.
Aj, aj! twarda sprawa,
Aż tyle!...
TENIERS.
Niewiniątko! daremna obawa...
GŁOS Z TŁUMU.
Ja daję trzy tysiące.
SAMUEL (do Teniersa).
Niech go porwą kaci!
Radź-że pan, czy postąpić, czy to się opłaci?
TENIERS.
Ba, nie zawsze tak dobra nastęrczy się gratka.
SAMUEL.
Kiermasze Teniersa, toć to rzecz nie rzadka.
Dwadzieścia! tyle razem pozbyć czyż podobna?
TENIERS.
Łatwo przyjdzie, gdy każdy puścisz w świat z oso-
[bna.
SAMUEL.
Dodaję sto.
GŁOS Z TŁUMU.
Ja pięćset.
SAMUEL.
Ścisnął mnie, jak w kleszczach!
Brak mi tchu, co tu począć?
TENIERS (do Samuela).
Co? wahasz się jeszcze?
SAMUEL.
(Milczenie.)
WOŹNY.
Nikt pędzić już się nieośmiela?
Te kiermasze własnością pana Samuela.

PANI TENIERS (do Samuela).
Brawo! winszuję panu!...
SAMUEL (na stronie).
Stroi ze mnie żarty.
BARON (do woźnego, ukazując portret pani Te-
niers).
Proszę teraz ogłosić ten portret naddarty,
Co tam wisi na ścianie.
TENIERS (na stronie).
Czy się też odważy?...
WOŹNY (do pani Teniers).
Czy ten portret należy również do sprzedaży?
PANI TENIERS.
Tak jest.
TENIERS (na stronie).
Wściekam się cały!
BARON (do Teniersa).
Proszę pędzić śmiało,
Chcę go mieć, choćby wiele kosztować mnie miało,
Bądź co bądź! Pan rozumiesz...
TENIERS.
Rozumiem, niestety!
PANI TENIERS (patrząc na nich, na stronie).
Co mówić sobie mogą?
WOŹNY.
To portret kobiety.
SAMUEL.
Uszkodzony.
PANI TENIERS (patrząc na męża).
Dziś z rana.
TENIERS (na stronie).
Bezczelna zdrajczyń!
VAN BEVERNING.
Pani sprzedać chce portret?
PANI TENIERS.
Ha, wiele ten czyni,
Kto musi.
VAN BEVERNING (wola).
Tysiąc!
TENIERS.
Dwa!
VAN BEVERNING.
Trzy!
TENIERS.
Ja broni nie złożę,
Cztery! Jak mnie popędzą i piąty dołożę.
BARON (na stronie).
Oszalał.
HENRYKA (cicho do Kornelego).
Biedny ojciec! jak listek drży cały...
KORNELI (do Henryki).
Drogi mistrz!...
PANI TENIERS (do Barona).
Co? pan stoisz martwy, jak ze skały!
Nie chcesz wyrwać mych rysów z rąk tego kra-
[marza?
Pan Baron nie zazdrosny... nic że go nie zraża?
VAN BEVERNING.
Sześć tysięcy!

TENIERS.
Dam dziesięć!
BARON (cicho do Teniersa).
Ze zbytnią szczodrością
Pan rozrzucasz pieniądze.
TENIERS (rzucając worek Baronowi).
Weźże swoje złoto!
Licytuję dla siebie.
BARON.
Zkąd zapłać tyle?
WOŹNY (do Teniersa).
Czy pan kupił ten portret?
BARON.
Poczekajmy chwilę.
(Na stronie.)
Kto ten człowiek? to Krezus jakiś tajemniczy!
(Głośno.)
Dodaje sto florenów!
PANI TENIERS (na stronie).
Za bardzo się liczy.
TENIERS.
Dodam tysiąc!...
(Baron spogląda niespokojnie na panią Teniers.)
WOŹNY.
Kto kupił?
TENIERS.
Ja.
BARON.
To jakiś książę...
WOŹNY.
Kto poręczy za pana?
KORNELI.
Ja się zobowiązę.
VAN BEVERNING.
Ty synu?
KORNELI.
Ja, mój ojciec.
BARON.
Ci ludzie szaleni!...
PANI TENIERS (do Barona).
Baron nad moje wdzięki wyżej złoto ceni,
Jego miłość oszczędna...
WOŹNY.
Baczność! młot zapada!
BARON (na stronie).
Snać czarci mi nasłali kobietę i dziada.
(Głośno.)
Dam dwadzieścia tysięcy!
(Do Teniersa.)
Wydarłem go przecie!
TENIERS (uderzając laską w obraz).
Ja w dodatku wycisnę piętno na portrecie!
(Wrzawa w tłumie na widok rozdartego obrazu.)
BARON.
Taka zniewaga płazem nie ujdzie nikomu!

TENIERS (odkrywając głowę).
Tak! ale naprzód, radzę, precz idź z mego domu!
BARON.
Co widzę pan Teniers!...
PANI TENIERS.
On sam! prawda szczerze!
Od rana wciąż nas śledzi, wzrokiem nas pożera.
TENIERS (do żony).
A więc ty mnie poznałaś!
PANI TENIERS.
Poznałabym nie miała!...
(Do Barona.)
Cóż pan na to, Baronie?
BARON (urazony).
Sztuczka się udała.
(Wielkie poruszenie w tłumie.)
WSZYSCY (wołają).
Niech żyje Teniers!
TENIERS (do mieszczańskich cichaczów).
Witam was przyjaciele! towarzysze starzy!
Ledwie żem się wydobył z szponów tych korsarzy,
Już nie myślę żeglować po morzu głębokiem,
Od brzegów mojej Skaldy nie ruszę się krokiem;
Będę dzielił się z wami smutkiem i uciechą,
Razem w progu gospody zasiądziem pod wiechą,
Nakarmię stare oko młodzieży płasami...
O, drodzy przyjaciele, jak mi błogo z wami!
TŁUM.
„Niech żyje mistrz!”
VAN BEVERNING.
Ramiona wyciągam ku tobie,
Uściśnij Antwerpią całą w mej osobie.
(Ściska Teniersa, wszyscy otaczają mistrza, on każdemu podaje rękę.)
SAMUEL.
Gdy Teniers nie umarł, to ja z łaski waszej
Okradziony: gdzie sprzedać dwadzieścia kierma-
[szy?
BARON.
Nie trwóż się, Samuelu, połowę odkupię
Natychmiast.
SAMUEL.
Wolę czekać, niech zostaną w kupie.
TENIERS (do żony).
Przebaczysz mi?
PANI TENIERS.
Przebaczę. Lecz i ty z twej strony
Staraj się raz już pozbyć zazdrości szalonej,
Czy myślisz iść na schadzkę?
TENIERS.
Gdzie? z kim? nie wiem wcale!
PANI TENIERS.
Masz klucz od tej altany za rzeką na skale...
TENIERS (oddając klucz żonie).
Oto jest.
PANI TENIERS (ukazując Barona).
O swą własność pan się dopomina.
(Teniers oddaje klucz Baronowi, który odbiera go upokorzony.)

VAN BEVERNING (zbliżając się uroczyście do Teniersa).

Przychodzę cię, mój mistrzu, błagać w imię syna:
On kocha córkę twoją i ona też dzieli
Wzajem jego uczucia.

TENIERS.

Weź ją, mój Korneli!

KORNELI.

Mistrzu!

TENIERS (do Burmistrza).

Będziem szczęśliwi szczęściem naszych dzieci.

HIERONIM (pociągając Teniersa za płaszcz).

Potem pan nam opowie jak się rozbił statek.

K O N I E C .

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Nie trzeba było dwa razy tego powtarzać Jagusi. W jednej chwili była już za oknem, co prawda, z trudnością niemalą przecisnąwszy się przez ciasne okienko. Otoczyła ją noc ciemna, ponura i wietrzna... Krakanie kruków wciąż stanowiło jedyny głos w ciszy, jaka zalegała cały obóz szwedzki. Jagusia, przeszedłszy przez okienko, przycupnęła pod ścianą, czekając na pojawienie się Konstancyi, która, stękając i narzekając na ciasnotę okienka, ledwie się wygramoliła. Ale w końcu i ona stanęła na ziemi. Tu wzięła za rękę Jagusię i mówiła:

— Chodź za mną! — poprowadziła ją dalej.

Szły, zachowując wielką ostrożność, oglądając się dokoła, bokami obozowiska szwedzkiego, w którym tu i owdzie paliły się jeszcze ogniska, dogasając powoli. Konstancya знаła widać wybornie miejscowość, bo tak kręciła, zawracała, omijała strażę, że nigdzie nie natknęły się bezpośrednio na Szwedów. Cisza zresztą wielka była w obozie, wszystko, widocznie mocno spało. Niebo było pochmurne, wiatr gwałtownie czarne chmury, gdzieś tylko ukazując samotne gwiazdki. Na wschodzie rumienił się już horyzont, zwiastując blizki dzień. Minęły szubienice z trzema trupami i spłoszyły gromadę kruków, które zgłośnym krzykiem zerwały się i trzepocząc w skrzydła uniosły, kracząc, krążąc dokoła szubienic.

— To trzech mieszczańskich Szwedów powiesili wczoraj. Heretyki paskudne. Ten z brzegu zwał się Białowąs, tamten Miller, a ten Jagła. O, moje biedaczki! niechże wam świeci światłość wiekiście na wieki wieków, amen! Chcieli chwycić też pana Jacka Brzuchańskiego, rzeźnika ze starej Częstochowy, ale to człek mądry, wyjechał zaraz świtanem.

Tak gadając, minęły kościół św. Barbary, biełający zdaleka wśród ciemnej nocy i poczęły się spinać pod górę. Już teraz obozowiska szwedzkich nie było, jeno same strażę, rozstawione dokoła klasztoru. Musiały chyłkiem się przesuwają, nieraz kłaść na ziemi, by ich nie spostrzeżono. Z wielkim trudem i niemniejszą stratą czasu, dobiły się na koniec pod mury klasztorne. Świt się już robił i szary, mętny dzień zimowy oblewał już wieże klasztorne.

W chwili właśnie, gdy Konstancya wprowadzała Jagusię do swej nory w wale klasztornym, rozległ się daleki huk dział. Raz po razu grzmotów ryczał i nagle ustał. Konstancya zatrzymała się, wielkie jej, na pół obłąkane oczy, patrzyły gdzieś w dal i szeptała:

— To Weychard Morę bije!

XIX.

Tymczasem gdy się to działo z Jagusią, partya rycerza Mory ścigała zawzięcie uciekających Szwedów, rąbiąc ich bez litości, nikomu nie darując życia. Pościg ten, uparty i zawzięty, trwał na przestrzeni dobrej mili polskiej i tutaj dopiero, dzięki usiłowaniom Lniskiego, udało się powstrzymać goniących. Wszyscy zapomnieli, po co przyszli prawie pod samą Częstochowę i wszyscy jeno widzieli uciekających przed sobą Szwedów, jeden Lniski nie zapomniał o tem, że zadaniem oddziału Mory jest oswobodzenie Jasnej-góry od heretyków. Wstrzymał więc pogoń z wielką trudnością. Owocem zwycięstwa było kilkanaście trupów szwedzkich, kilkanaście koni, szabel, pistoletów i t. p. Miano znowu w co uzbroić i na co usadowić resztę chłopstwa. Po jakim takim uporządkowaniu się wracano szybko drogą powrotną. Wszyscy byli zmęczeni, ale ufni w siebie, dumni nowem zwycięstwem.

— Chyba to już dziś nic nie będzie z naszej napaści na Millera? — gadał do Lniskiego Boruta.

— A to czemu?

— Ludzie i konie są strasznie pomęczeni!

— To nic nie znaczy. Odpoczywać nie mamy gdzie i nie jest bezpiecznie to czynić pod bokiem przeważnego nieprzyjaciela. Sił nam doda Najświętsza Maryja Panna.

Lniski był ciągle dziwnie pobożny. I teraz jadąc złożył zbryzgane krwią szwedzką rękę i modlił się głośno. Po modlitwie poczał obyczajem swoim, głosem ponurym i jakby z grobów idącym psalmy pokutne. Ten śpiew trumienny tworzył uderzającą sprzeczność ze śmiechami głośnemi, z gwarem i wesołością ogólną żołnierzy, którzy cieszyli się ze świeżego zwycięstwa, śpiewali, śmiali, liczyli łupy. Któryś nawet z młodszych chłopaków, podczas gdy Lniski z „głębokości wołał do Boga”, gdy głos jego gruby, twardy, drżał jakąś nieopisanie melancholijną nutą, jakby na żart zaśpiewał krzykliwie rozpustną piosnkę:

„Kaśka za piec, Maciek za nią...”

Lniski, usłyszawszy to, zatrzymał się i dotykając swą suchą, kościstą ręką zadumanego Żwana, spytał:

— Mora czy śpisz?

— Nie, nie śpię jeno dumam.

— Ty dumas, a w twojem wojsku sprosne oto śpiewki śpiewają. Bóg ześle przekleństwo na takie wojsko. Kto idzie bronić Maryi, czysty być powinien, kto chce bronić ojczyzny, surowy być winien. Ty dumas, alem ja tu jest, bym nie dał zagnieździć się zepsuciu.

I podnosząc rękę do góry, grmiącym zawołał głosem:

— Milczć tam! ktokolwiek jeszcze raz zaśpiewa mi w szeregach świecką i sprośną piosnkę, ten, jakem Samuel Lniski, będzie wisiał. Pilnujcież się!

Odtąd w szeregach zapanowało milczenie, jakby makiem zasiał. Lniski śpiewał swe psalmy pokutne, a wszyscy go słuchali i do serc ich przekrada-

ła się jakaś żalność, jakiś smutek, jakieś rozpaczliwe zniechęcenie. Bartek szlochał głośno, a Boruta jadąc bokiem, mruczał niechętnie pod nosem:

— Cóż to, mnichy jesteście, byśmy jeno jakieś psalmy grobowe wyśpiewywali. Ja zawsze mówiłem, że ten Lniski jest nawiedzony mosanie.

Partya szła bardzo wolno. Ludzie i konie byli bardzo pomęczeni. Zatrzymywano się przytem często, dla rewidowania trupów szwedzkich, rozsiadanych na całej drodze; dobijano rannych, zbierano broń. Po borze wiatr szumił ponuro, szeleściły suche gałęzie sosen, wilki gdzieś w głębi lasu wyły. W miarę posuwania się nocy rosło i zimno; mróz chwytał. Wszyscy byli głodni i potrzebowali spoczynku. Po całym oddziale, przed chwilą tak wesołym, powiał jakiś smutek i zniechęcenie.

Dobito się nakoniec do obozowiska, które widniało zdala łuną od rozpalonych ognisk, które chłopci zostawieni sami sobie porozkładali z dziwną nieostrożnością. Straży nie postawili żadnych. Harmatki ukryte w krzakach, ostawione były same sobie, ludzie spali, lub grzali się przy ogniu. Wszyscy chłopci byli pomęczeni, pokrwawieni bójką, stoczoną przy obdzieraniu trupów, trzech nawet było ciężko rannych. Lniski, obaczywszy to, wpadł w wielki gniew. Mora dobywszy szablę, płażował chłopów i wstawać im kazał, grożąc, że wieszają ich będzie. Bartek jak szalony latał, szukając Jagusi i nie mogąc jej znaleźć, ani się dopytać co się z nią stało. Widząc rannych Mora, w strasznej pasji krzyczał, kto ich pokaleczył, co się tu działo. Chłopci ustawili się w szeregi i patrząc przed się ponuro milczeli. Cały oddział wpadł w rozprzeżenie. Jeźdźcy, zbili się w kupę bez ładu koło piechoty, wielu poosiadało z koni, inni poszli do ognisk się grzać, starszyzna prowadziła śledztwo, nie myśląc ani o Szwedach, ani o niczem. Głównie Mora sam się wściekał. Gdy się dowiedział o bójce, latał przed chłopami z gołą szablą w garści i krzyczał:

— Chamyl! psie plemię! powywieszam was co do jednego, psu braty jakieś! Różgami zasiec każę na śmierć. Ja was nauczę moresu!

Bartek stracił całkiem przytomność. Zlazł z konia, siadł na śniegu i zawodził głośno:

— Jaguś! moja Jaguś serdeczna!

Gdy się nakoniec dowiedział, że jego Jaguś, przestraszona bójką chłopską, uciekła co koń wyskoczy ku Częstochowie, chciał zaraz siadać i lecieć za nią.

— Dajże pokój człeku — mitygował go Boruta — dokądże ty za nią polecisz, gdzie jej szukać będziesz? Wieszli gdzie ona jest?

— Gdzie jest, to jest, a ja ją znajdę — wołał Bartek — choćby ją z rąk samego króla szwedzkiego dobyć, to dobędę. Po com ja głupi leciał za Szwedami a ją tu samą z chamami ostawił? O mój Boże, mój Boże!

Przypopreżył kulbakę i już kładł nogę w strzemię, gdy go znów wstrzymał Boruta:

— Bartek! wściekłeś się, czy co?... Jak Pana Boga kocham, tak takiego półgłówka jako ty jesteś, jeszcze nie widział. Umitygujże się i posłuchaj głosu rozumu.

— A cóż ty mi powiesz dyable?

— Co ci powiem?... nic ci nie powiem... ale gdzie ty będziesz szukał Jagusi. Ona zapewne, mosanie, wpadła w ręce tego zbója Millera.

— Millera! o mój Jezu, Jezusieńku! — załamywał ręce Bartek — dopieroż jej tam dadzą bobu! Boruta! dyable łączycy, jedź ty ze mną! Co chcesz

to ci dam, duszę zaprzędam, cyrograf napiszę krwią własną, jeno jedź i dopomóż mi wydobyć Jagusię z rąk heretyckich. Boruta, mój Boruta!

— Ot głupi chłop! — mruknął Boruta — z kretesem głupi. Cóż my w dwóch uczynić możemy, chyba to, żeby nas Szwedy chwyciły i obwiesiły jak dwóch złodziei. Upadam do nóg! nie głupim dla podwiku życie poświęcać. I byłoby to w końcu strasznie głupio, porywać się z motyką na słońce, we dwóch lecieć na całą potencję szwedzką. Miejże rozum chłopie! uspokój się, proszę ja ciebie. Zaraz my wszyscy pójdziemy pod Jasną-górę. Łącznij w sto koni coś Szwedowi zrobić i Jaguś odbić, jak we dwa. A przytem, zkaż presumpcy, że Jaguś w obozie szwedzkim. Mogła skreślić gdzie w bok, wsie tu są różne i śpi sobie teraz spokojnie w ciepłej izbie, kiedy ty chcesz jako półgłówek kark o nią kręcić. Człeku, weźże to wszystko na rozum. Nie bój się, Jaguś, mosanie, łebska to dziewczucha, nie da się ona w kaszy zjeść.

— He! he! he! — zaśmiał się uspokojony już Bartek — że łebska, to łebska. Ano, dobrze ty gadasz, dyable, i od tego ty jesteś dyable, żebyś dobrze gadał. Jak jeno pójdziemy na Millera, to ja zaraz na smycz wezmę jakiego Szweda i musi mi wyśpiewać, czy Jaguś u nich jest.

— Choćby nawet była u nich, toć Szwedy, naród paskudny ani słowa, ale rycerski, ma cześć dla niewiast...

— Tak gadasz?

— A tak.

Lniski, zajęty jedną tylko myślą napaści na Millera, kazał tymczasem działka wytoczyć na szosę i krzyczał, by na koń siadano. Leniwie się do tego jazda brała, zmęczona i zdrożona naprawdę. Ten i ów już siadł, reszta przypopreżała kulbaki i kłęła, że spoczynku nie ma ani chwili. W tem, gdy się to dzieje, Boruta, który stał z Bartkiem na drodze ku Jasnej-górze, naprzód nieco wysunięty, usłyszał nagle jakiś tentent i okrzyk:

— Fajer!

Ledwie się spostrzegli i zdążyli spojrzeć w tę stronę, gdy nagle huknęło, jak gdyby nagle stę gromów zagrzmiało i kula ze swistem przeleciała górą nad ich głowami, strącając z trzaskiem gałęzie z drzew.

— Szwedzi! — rozległ się okrzyk rozpaczliwy i kto żyw, dopadał konia.

Za pierwszym strzałem zagrzmiał drugi i trzeci i czwarty, tym razem lepiej wymierzone, gdyż jedna z kul uderzyła konia Lniskiego. Rycerz ten padł ze swym żmujdzinem na ziemię, a po nim, jak chmura gradowa, tratowała jazda, przerażona do najwyższego stopnia. Już też rajtary szwedzkie z szablami w garści pędzili ku niesfornej kupie jeźdźców polskich. Teraz, kto żyw, uciekał. W jednej chwili, chłopci, jak stado spłoszonych sarn, poczęli smyrgać w krzaki, krzyząc: ratuj się, kto może! — rzucając kosy, topory, piki, co kto miał.

Mora wypadł na szosę z szablą w ręku i krzyczał:

— Stój! stój!... przez Boga żywego, stójcie!

Ale głos jego ginął wśród wrzawy uciekających, wśród szalonego popłochu, jaki ogarnął wszystkich. Naprawdę zabiegał drogę uciekającym, chwycił konie za cugle i odwracał je twarzą do nieprzyjaciela, napróżno w rozpacz płazował swych jeźdźców. Rajtary szwedzcy już dopadli i siekli wszystkich, kogo napotkali na drodze.

Właśnie jakiś rajtar przyskoczył do Mory, szamoczącego się w rozpaczliwym wysiłku i nim ten zdążył się spostrzedz, ciał go mieczem po głowie. Uderzony silnie Mora zachwiał się i pochylił naprzód, a koń przestraszony wziął na kiel i w szalonym cwale wywiódł wodza z tumultu. W jednej chwili prawie przed Szwedami nie było nikogo... Wszystko było albo zarąbane, albo uciekało jak stado spłoszonych owiec.

Konie polskie, znużone marszami, długim pościgiem, jaki tej nocy zrobiły, nie były w stanie unosić daleko jeźdźców. To też Szwedzi siekli bez litości, zaścielając całą drogę trupami polskimi. Ten i ów skręcił w bok, w las i tym tylko sposobem ocalał. Tak uczynił Boruta, który miał dzielnego i wytrzymałego bachmata, a biegnąc przy broczącym krwią Morze i widząc, że jego koń poczyną ustawać, chwycił go za cugle i wywiódł w bok w las, w gęstwinę krzaków. Za nimi podążyło kilkunastu jeźdźców i gromadka ta ocalała. Dzień się już zrobił i błądząc przez kilka godzin po borze, dobito się w końcu do jakiś kilku chat, zagrzebanych w głębi lasu, gdzie musiano spocząć, gdyż stan Mory był coraz gorszy. Szwed silnie zranił go w głowę i chory wpadł w gorączkę i majaczył. Przepytyując się mieszkańców, dowiedział się Boruta, że do Dankowa ztąd jest zaledwie półtorej mili. Po namyśle więc, postanowił tam posłać po pomoc i ratunek dla chorego.

Bartek Koszarski także ocalał. On zaraz przysnął w bok za chłopami i tłukąc się z nimi przez kilka godzin, dobił się także jakiejś wioski, znużony, zmęczony i zrozpaczony strasznie.

Szwedzi upojeni byli tak łatwym i tak zupełnym tryumfem. Zdobyto wszystkie działka, wzięte przez Borutę z Dankowa, zdobyto kilkadziesiąt toni, rozproszono całkiem partyę Mory. Podczas gdy połowa rajtarów puściła się w pogoń za uciekającymi, druga połowa została z Weychardem na pobojuwisku. Właśnie dumny ten zdrajca, otoczony starszyzną, jechał po drodze, gdy nagle z pod nóg konia podniosła się z ziemi jakaś postać i nim Weychard się mógł opamiętać, ujrzał wymierzoną do siebie lufę pistoletu i grobowy głos:

— Giń psie przeklęty!

Weychard gwałtownie ściągnął konia, a w tymże momencie padł strzał. Niestety! Lniski, bo to on był, chybił i miasto Weycharda, zabił stojącego obok niego Szveda. Podniósł się straszny krzyk. Jakiś Szwed dobył miecza i chciał już zarąbać Lniskiego, gdy Weychard powstrzymał go, krzycząc coś po szwedzku. Uspokoili się Szwedzi i z ciekawością poczęli przyglądać się Lniskiemu. Dzień już był jasny i ponura, wyniosła postać rycerza polskiego, rysowała się wyraziście na płowym tle zimowego nieba.

Stał on wyprostowany, dumny i straszny, z gołą, łysą głową, której rzadkimi włosami wiatr miotał, z dymiącym się jeszcze pistoletem w ręku, w zbroi, w której przeglądały się blade blaski zimowego poranku, cały krwią zbрызany i błotem, nieruchomy, istny Bóg pomsty. Stał i z wyrazem niewysłowionej pogardy patrzył na Weycharda.

— Janie Weychardzie, hrabio z Wrzeszczowic! — wołał Lniski donośnie swym trumiennym głosem — niecny zdrajco ojczyzny, psie nikczemny, bądź przeklęty, trzykroć bądź przeklęty! Każ mi kacie podły uciąć tę rękę, która cię chybiła, każ co prędzej, bo ja sam nią gardzę.

Weychard na te słowa rzucił się na koniu jakby na węża nadepnął. Pochylił się tak, jakby się chciał rzucić na Lniskiego, a jastrzębia twarz błala mu się purpurą gniewu.

— Ty kto? — syknął.

— Jam jest Samuel Lniski, szlachcic pomorski, sługa Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, która was wytępi, zdrajców wyniszczy, Szwedów wymorzy. Ja to tobie mówię Weychardzie, podły zaprzańcze!

— Milcz psie przeklęty! — krzyknął Weychard — czy wiesz co cię czeka?

— Wiem! każesz mnie powiesić.

— Tak, powieszę cię oto tu, na tej sośnie i zabronię zdejmować twego trupa, by cię krucy, psy i wilki pożarły.

— Jam grzebał trupy pomordowanych przez ciebie zbójcu i moje ciało ktoś pogrzebie. Śmierci się nie lękam, ale ciebie, zdrajco niecny, jeżeli masz trochę krwi rycerskiej w żyłach, wyzywam wprzód na rękę!

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się szydersko Weychard — ja się z takimi psami jak ty nie biję. Hej, jest tam kto, by tego łotra powiesić.

Lniski wtedy plunął mu w twarz, a plunął tak silnie, że ślina padła na czerwone, trędowate policzki Weycharda. Poblądł strasznie na tę zniewagę, zsiniał i zzieleniał i ręką chwycił za miecz. Ale wkrótce uspokoił się; straszny uśmiech zajaśniał na jego twarzy i zwracając się do Lniskiego rzekł:

— Otóż nim cię powieszę, każę cię wprzód zażyć pod kijami.

Lniski nic już nie odrzekł. Obrócił się twarzą ku Jasnej-górze, której wierzchołek wieży rysował się w dali na tle nieba i po cichu się modlił, złożwszy ręce pokornie. Na jego brązowej, zaschłej jak pargamin twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, kiedy go opadli oprawcy szwedzcy, obdarli ze zbroi i sukien i nagiego starca, chudego jak szczapa wyschła zawiedli pod wysoką sosnę. Tu na gałęzi zarzucili stryczek, tym stryczkiem owinęli szyję Lniskiego, jego samego mocno przywiązali do drzewa i poczęli bić grubymi kijami...

Pod ciosami tych strasznych katów ciało odpadało kawałkami, a krew tryskała dokoła. Lniski nie wydał ani jednego jęku. Od czasu do czasu tylko poruszył ustami, wyszeptał głośniejsze słowo z psalmów pokutnych, potem, kiedy już nagie kości bili kaci, zwił na sznurach martwym trupem...

Krwawego, straszego tego trupa, podobnego raczej do jednej czerwonej masy jakiejś, niż do człowieka, kaci powiesili na sośnie.

Po tej egzekucji, rajtaria szwedzka powiesiła jeszcze pięciu jeńców wziętych żywcem i z muzyką, śpiewami i śmiechem ruszyła z powrotem ku Jasnej-górze.

W lesie pozostało sześć trupów, miotanych wiatrem. Grała im olbrzymia muzyka boru polskiego, krakały nad niemi kruki, zbiegające się na żer z daleka i patrzyło na nich blade, mętne, zimne niebo polskie.

XX.

Bartek Koszarski szczęśliwie się wywinął ze strasznej klęski, jaka spotkała partyę Mory. Tłukąc się po lesie przez kilka godzin, z początku z kilku chłopami, którzy go następnie opuścili i gdzieindziej poszli, dobił się na koniec niewielkiej wioski, gdzie w chałupie u chłopu odpoczął. Ba-ba nagotowała mu kaszy z mlekiem i jajecznicy, posilił się więc, bo był głodny tak, żeby konia zjadł z kopytami, wyspał się na sianie i tym sposobem wypocząwszy sobie cały dzień, nad wieczorem

rem począł rozmyślać, co mu teraz, czynić należy. Przedewszystkiem Jagusia leżała mu kamieniem na sercu... Jak jej dopomódz? co z nią Szwedzi zrobili? jak dostać się niepostrzeżenie do ich obozu?

— Żeby tu był przy mnie dyabeł łęczycki, to bym wiedział co i jak czynić należy. Choć on dyabeł pospolity, zawsze on ma rozum większy jak mój, bo dyabelski. Ja tu nic wymyślić nie mogę. Pojadę do Szwedów, tak jak jestem, to mnie złapią hultaje i obwieszą... i Jagusi nie pomogę i siebie zatracę. Co czynić? co czynić? Żeby móc do Wąsosa wrócić i chłopów zebrać i uzbroić, to by jeszcze tentować można szczęścia. Ale jakże tu wrócić do Wąsosa? Matusz by mnie bizunami zasiec kazał. Nie! do Wąsosa nie pojadę, za nic w świecie... nie pojadę!

Jednem słowem, nie wiedział co robić i dokąd się obrócić... Siedzieć tu na wsi, w chałupie chłopu nie można długo, bo i trzosiak był pusty i płacić czem nie było, a przytem nic się tu nie wysiedzi. Dowiedział się od chłopu, że miasteczko Kłobucko leży ztąd o dwie mile tylko, postanowił więc tam pojechać, niemając gdzieindziej. Ciągnęło go coś do Wąsosa.

— A nuż matusz dadzą się przebłagać i pojadać sami i wykupią z rąk szwedzkich Jagusię? he? nie byłoby to dobrze? — myślał sobie.

Ale strach przed bizunami, bez których czuł do-brze, że nawet w najlepszym razie by się nie obe-szło, kazał mu tę myśl zarzucić.

— Wszelako — mówił sobie — z nikąd inąd pomocy nie dostanę, jeno z Wąsosa i zawsze trzeba się tam udać. Przycupnę cichaczem na leśnictwie i penetrować będę, co się dzieje.

Tak sobie postanowiwszy, wieczorem wyruszył z wioski w kierunku Wąsosa. Mrozik na noc chwycił, niebo było czyste, pokryte milionami gwiazd. Miało się właśnie na pełnię i księżyc świecił jasno. Bartek i koń jego wypoczęci dobrze, żwawo postępowali drogą wysadzaną wierzbami. W dali czerniały lasy i cisza była wielka w naturze, usrebrzonej blaskiem miesiaca, utulonej szmerem wiatru idącego od boru. Melancholia widoku zimowego działała dziwnie smutno na Bartka. Przypomnił sobie los Jagusi i głośno zapłakał, wymyślając samemu sobie, że nie niesie jej pomocy.

— Dokąd ja jadę! — wołał — ja powinienem jechać do Częstochowy, choćby samemu z szablą w garści rzucić się na Szwedów, odbić Jagusię, lub zginąć!

(Dokończenie nastąpi.)

RANEK.

(Przed odjazdem dla Szczęsnej.)

Z snu się budzi wszech natura,
Wstaje ranek i technie wonią,
Wkryształ rosy zmacza lica,
Uśmiechnięty jak dziewica,
Rąbkiem zorzy je obciera,
I przez złote słońca włosy.
Na świat nędzy tej spoziera.

Coraz chyżej, coraz niżej,
Fala światła okół toczy,
I rozwija i rozchyla,
Owinęte w chmury szczyty...

Trzeba chyba zamknąć oczy,
By niewielbić te zachwyty,
Aby jedna owa chwila,
Nie spłoszyła wszystkie troski,
By nie wstąpił pokój Bozki,
W tych nędzarzy na padole,
Oświeconych dniem co wschodzi,
Osłabionych i steranych,
Których życiem ciągle bóle,
A zajęciem łzy i płacze!
Których troski i rozpacz,
Tylko miłość czasem słodzi,
I to na to, by dnia blaski,
Rozproszywszy jak mgły przedzę,
Jej złudzenia, jej marzenia,
Pchnęły w nową, nową nędzę!
Świt się perli, dzień iskrzeje;
Wszędzie widno, wszędzie jasno,
Gasną ognie, gwiazdy gasną,
Często gasną i nadzieje.

J. K. wielbicielka Szczęsnej.

TEATR ROSSYJSKI W WARSZAWIE.

W ostatnich występach trupy rosyjskiej goszczącej w Warszawie, przedstawione były następujące sztuki:

1. Dramat A. N. Ostrowskiego i N. J. Gołowiewa p. t. *Świeci choć nie grzeje*, przedstawia pannę Reniewę, właścicielkę ziemską, damę światową, która znudzona życiem pragnęłaby zdruzgotać cudzy spokój przez zazdrość że sama cieszyć się niem nie może. Wtem dowiaduje się, że sąsiad jej Rabczew kocha bardzo Wasilkową, ubogą panienkę. Reniewa więc zarzuca na niego sieć, a Rabczew pełen prostoty człowiek i otwartości, chociaż z początku opiera się dość nawet szorstko powabnej zalotnicy, ulega jej w końcu nie przestając jednak kochać swej niewinnej Oli.

Jednocześnie daje się uludzić tej samej zalotnicy Zabieszyn człowiek żonaty który jednak opamiętał się i zrozumiał że dama *świeci ale nie grzeje*. Zrozpaczona Ola niewiernością ukochanego znajduje śmierć w nurtach rzeki, a ten wypowiedziawszy Reniewie słowa prawdy, rzuca się w fale za ukochaną.

2. W komedii: *Ciocia Liza*, opiekuje się chorym malarzem Michinem jako siostra miłosierdzia i kocha się w nim szczerą, wielką miłością. Następnie mieszkając razem, on kocha ją jak matkę, ona kryjąc swe uczucie, okazuje mu tylko miłość siostry. Jednocześnie młody artysta pokochał Lenoczkę, siostrzenicę rodzoną ciocie Lizy, która dowiedziawszy się o tem, aczkolwiek z bólem serca swata kochającą się parę i przenosi się do brata na mieszkanie. Lecz do komedii należy jeszcze doktor Baraszkin, mile na ciocię Lizę poglądający, lecz co z tego wypłyne autor G. D. widzom do domysłu zostawia.

Na ostatniem wreszcie przedstawieniu, odegrany był powtórnie dramat A. N. Ostrowskiego p. t. *Burza*. Wogóle gra wszystkich artystek i artystów była staranną we wszystkich sztukach z jakimi wystąpili na scenie teatru Wielkiego. Tutejsze też rosyjskie towarzystwo wdzięczne za

chwilę doznanej przyjemności, pożegnało utalentowanych artystów uczcą na cześć ich umyślnie urządzoną.

Teatra Ogródkowe.

Gdy lat temu kilka czy kilkanaście, urządzono w Warszawie pierwsze ogródkowe teatru, powodzenie ich było niemałe i przedsiębiorcy porobili na nich nawet fortunki. Głównym tego powodem był zupełny brak letnich teatrów, niezły dobór artystów i skrętność w wynajdywaniu sztuk w stałych teatrach prawie nieprzedstawianych. I trwało to czas jakiś, ale gdy wzniesiono teatr letni w ogrodzie Saskim a drugi dla operetek urządzono, powodzenie ogródkowych bardzo się zmniejszyło i coraz bardziej upada.

Włożono to na karb zmienności gustu publicznego poddającego się łatwo pod jarzmo mody; nie w tem jednak należy szukać właściwej przyczyny tego niepowodzenia.

Dopóki teatrzyki były same, rywalizowały tylko z sobą równą bronią, a że pragnących z nich korzystać był znaczny zastęp, różnica więc w korzyściach wielką być nie mogła. Gdy jednak do współzawodnictwa stanęły dwa teatru stałe, z lepszym urządzeniem, ze staranniejszym doбором artystów, z tym samym wyborem sztuk i z ceną miejsc taką samą jak w ogródkowych, położenie rzeczy uległo zupełnej zmianie.

Teatru stałe stanowczą wzięły przewagę, każdy bowiem za jedne i te same pieniądze, wolał szukać w nich zabawy, jak nawiedzać ogródki w których obok słabej gry artystów, pół godziny przeciągano rozpoczęcie widowiska, antrakta robiono przeraźliwie długimi, nieustannym szmerem publiczności przygłuszano śpiew i mowę artystów i wreszcie widowisko kończono dopiero około północy, co zachęty do bywania nie może stanowić. Teatru ogródkowe wloką swój żywot w Warszawie zawsze pod strachem zupełnego bankructwa, które później prędzej nastąpić musi i z pewnością nastąpi jeżeli dyrektorowie radykalnymi zmianami temu nie zapobiegają.

Przedewszystkiem zatem powinni cenę krzeseł zniżyć do połowy, pod względem rozpoczęcia widowiska i trwania anaktów naśladować cyrki i wreszcie mieć artystów, którzyby umieli mówić na scenie głośno i wyraźnie, nie odwracali się plecami do publiczności, w operetach komicznych szczególniejszej artystki nie piszczały jak myszy a wszyscy wyrazy wymawiali wyraźnie i pamiętali, że w sztukach tego rodzaju śpiew na drugim jest miejscu a na pierwszym treść śpiewanych ustępów, których zrozumienie jest konieczne jeżeli sztuka ma zająć i zabawić.

Z reformą projektowaną wszystko się zmieni na lepsze a chociaż i w teatrach stałych pisku mysiego nie brakuje i umiejętności wyraźnego przy śpiewie wymawiania wyrazów, zawsze jednak nie jest to tak rażące jak w ogródkowych widowiskach.

Niedawno przedstawiono w nich trzy operety, dwie z muzyką Straussa bardzo udatną a jedną Wolfa także zgrabnie ułożoną.

W pierwszej p. t. „Gaskończyk”, rzecz wzięta z dziejów Anglii, gdy nieszczęśliwego księcia Monmuta z rozkazu stryja Jakóba na szafocie pozbawiono życia a opinia publiczna nie chcąc uwierzyć tak potwornemu okrucieństwu, utworzyła pogło-

ską, że Monmuta potajemnie wypuszczono z więzienia a w miejsce jego innemu jakiemuś zbrodniarzowi głowę ucięto. W dalszym więc ciągu legendy, scena odbywa się na wyspie zamieszkałej przez Monmuta żonę, którzy dla odstraszenia ciekawych od swej siedziby, aby się tajemnica ich pobytu nie wydała, rozpuścili pogłoskę, iż odludną ich siedzibę zamieszkuje Sinobroda, która mężów pozbywa się ciągle w bardzo podejrzany sposób i już czwarte w ten sposób zawiera małżeństwo.

Gaskończyk uciekający przed wierzycielami, awanturnik, łgarz i samochwalca, przybywszy na wyspę dowiaduje się o wdowie Sinobrodzie i postanawia starać się o jej rękę bez względu na pewne niebezpieczeństwo. Przemocą więc prawie dostaje się do siedziby Monmutów, tam dla odstraszenia opowiadają mu o śmierci czterech poprzednio zmarłych mężach przy pomocy trucizny, nie go to jednak nie zraża, zjawiają się później kolejną duchy pomordowanych ofiar i to go strachu ani trochę nie nabawia i kiedy zakochany na prawdę w żonie Monmuta w ogrodzie duma nad swem położeniem, nagle napadają na niego wysłannicy króla Jakóba Sztuarta, pewni, że to Monmut którego im uchwycić polecono.

Gaskończyk ulegając rozpaczliwej prośbie księżnej, przyjmuje na siebie rolę jej męża i tym sposobem ułatwia ucieczkę obojgu Monmutom i dopiero sam ucieka gdy podstęp się wydał.

W drugiej p. t. „Dwaj Grafowie”, mieści się szykana dawnych książąt niemieckich, w których pycha i głupota przeważały fortunę. Jeden więc Graf cieszy się nadszkodami dworusów, którzyślubił do tego stopnia posunęli, że gdy Graf zażywa tabakę oni kichają, a Graf powiada:

— Jak to wygodnie zażywać tabakę, gdy inni wyręczają w kichaniu.

Drugi Graf trochę rozumniejszy ale dręczony długami. Cóрка pierwszego a drugiego syn kochają się i tylko przypadkiem pobierają się z sobą, stąd powstają nieporozumienia całą treść sztuki zapełniające.

W trzeciej wreszcie p. t. „Cezaryna” rycerz francuzki de Folignac kocha się w pięknej córce ogrodnika Cezarynie, dumny wszakże ojciec jego odmawia swego zezwolenia na małżeństwo, ze względu na niskie pochodzenie Cezaryny. De Folignac ma przyjaciela markiza de Rancy, który za pojedynkę odbyty z jakimś tam magnatem francuzkim, skazany zostaje przez Richeliego na śmierć. Wielki kardynał mając na pamięci zasługi skazanego oddane krajowi, pozostawia mu trzy dni do znalezienia szlachetniejszej, aniżeli miecz katowski, śmierci w boju z hiszpanami, z którymi właśnie walczone.

Markiz postanawia udać się sam jeden do obozu hiszpańskiego i tam w szlachetnym zginąć boju. Przed śmiercią wszakże pragnie oddać przysługę przyjacielowi i w tym celu żeni się z Cezaryną, w tej nadziei, że ojciec Filignaca zezwoli na małżeństwo z wdową po nim (gdyż nazajutrz po ślubie niechybnie musi zginąć), markizem de Rancy. Poczciwy jednak librecista w zgodny sposób załatwił całą sprawę. Richelieu więc przebaczył markizowi, ten zakochał się w swej żonie, przyjaciel jego zakochał się znowu w siostrze Cezaryny, ojciec zaś tego ostatniego chętnie zezwolił na małżeństwo z siostrą *markizy*, a więc i cała awantura zakończyła się pomyślnie.

We wszystkich tych trzech operetach komizmu a raczej nienaturalności komicznych jest dosyć, uśmiechy się jednak można a więc i zabawić o co właśnie najglówniej chodzi, ale śpiewy piskliwe,

niewyraźne, wykonywane z pretensją wielkich śpiewaków a głosami tabakierok grających, wszystko tak psuje że przy okropnie długich antraktach czwartą część widzów po drugim akcie wypędza do domu.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

W ubiegłym tygodniu Wystawa rolnicza zamknięta została, a wyścigi końskie zakończyły swe karkołomne występy z wielkim żalem lubowników totalizatora. O wystawie wypisano we wszystkich dziennikach tyle atramentu, piór i papieru, że żaden z niej szczegół nie został opuszczony co by mógł stanowić nowość godną podniesienia. W wyścigach zaś zajmującego nic nie zaszło, żaden kark nie został skrecony ani ząb wybity, a przy totalizatorze nikt sobie w łeb nie strzelił, brakło więc wrażeń co dreszczem po całej skórze przechodzą, a takie wyścigi żadnej nie mają wartości.

Za to we Lwowie gonitwy więcej uilustrowane zostały różnemi niespodziankami.

W pierwszym wprawdzie dniu wszystko odbyło się prawidłowo; w drugim przeznaczonym na popis wierzchowców do skoków, który koń najlepiej się popisał powstała nierozstrzygnięta wątpliwość isąd nie przyznał nagrody żadnemu z czworonogich do niej konkurentów. W następnym jednak wyścigu z przeszkodami, zajęcie troszkę zostało podrażnione: upadł bowiem z koniem p. Ładomirski, ale niestety! tylko się dobrze potłukł, udekorował sińcami i guzami i zerwał na równe nogi jakby z pułkowej pościeli.

W trzecim zato dniu zajęcie już znacznie podrosło, jeździec bowiem jadący na „Hermicie”, ogierze Józefa hr. Potockiego, uderzył w biegu szpicrutą „Mahdiego”, ogiera pana Mysłowskiego i biedny „Mahdi” (nie pierwszy w dziejach świata „biedny mahdi”) rzucił się w bok i zranił tak niebezpiecznie, iż tego dnia jeszcze przypłacił życiem ten prawdziwie tromtadratyczny sposób zdobywania nagrody, którym się posłużył jego przeciwnik. Pozbawiona w ten sposób konkurenta, który miał stanąć do wyścigu o nagrodę cesarską 2,000 złr., wzięła ją klacz p. Ochockiego „Precyoza”, objechawszy metę dla formy. Najsmutniejszego jednak doznał losu L. hr. Poniński, który podczas przeskakowania płotu spadł z konia i dość silnie się potłukł, a klacz „Ladaco” (*nomen omen*) po wypadku tym ze wstydu i upokorzenia zdechła. Padł także skutkiem nadmiernego sforsowania czteroletni ogier kasztanowaty p. Krzysztofowicza „Vicking”, przedstawiający wartość 3,000 złr. Prawdopodobnie żadne w Europie wyścigi w ciągu dwóch dni nie dostarczyły widzom i uczestnikom tylu niezwykłych perypetyi.

Tak więc pokazaliśmy światu co umiemy i na co stać naszą chudobę, a że powodzenie obowiązuje, postanowiono zatem urządzać wyścigi cyklistów do których i panie ale już na czterokołowych rumakach mają należeć.

Z wystawami jednak rzecz nieskończona. Zapowiedziano już wystawę ogrodniczą na koniec bieżącego miesiąca: wystawę gołębi ze środkami tępienia jastrzębi, krogulców i innych nieprzyjaciół gołębiego rodu, wreszcie wystawę pracy kobiet,

której podobno najbardziej przyklasnąć należy. Podjął ją zakład hr. Cecylii Plater Zyberkówny i otwarcie jej już nastąpiło.

Towarzystwo ogrodnicze, jak może tak krząta się około rozwijania swojej działalności, tak wielce pożytecznej i pożądanej. Z łona jej powstała już spółka owocowa, która jakkolwiek z wielkim trudem przynęca do siebie ochotników, ale pamiętna, że Krakowa nie odrazu zbudowano, niech nie ustaje w swych zabiegach a z pewnością pomału dopnie celu i nada ruch przemysłowi jak najnieodlegniej dotąd u nas prowadzonemu. Obecnie rzuciła myśl noszenia kwiatów przez wszystkich bez wyjątku, zarówno przez kobiety jak i mężczyzn w dziurkach od guzików. Wprawdzie róża lub lewkonii gałązka, przy twarzy zoranej zmarszczkami i śladami lat przeżytych, wyglądają jakoś niebardzo harmonijnie, ale pomału oczy przyzwyczajają się do tego widoku i kwiat stanie się niezbędnym równie do podniesienia wdzięku młodości jak i powiększenia powagi osób nią się już niezalecających.

Że myśl ta rzucona przez Tow. ogrodnicze nie padła na płonną opokę, świadczy młodzież mężka już zdobijca tużurki swoje kwiatami i urządzenie w altanie Saskiego ogrodu sprzedają ciętych kwiatów a mianowicie róż w wielkiej obfitości, w najrozmaitszych gatunkach, kolorach i małych bukiecikach.

Bał w Dolinie Szwajcarskiej na dochód opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi, pod względem finansowym powiódł się wybornie, ale co do tłoku, gorąca i trudności oddechu z powodu zbyt wielkiej liczby uczestników, zwolenników tych przyjemności zawiódł najzupełniej. Z równie dobrem powodzeniem odbędzie się: zabawa ludowa na dochód Tow. dobroczynności na placu Ujazdowskim po wystawie, a odbyła już zabawa na korzyść Przytuliska w ogrodzie Frascati hr. Branickich, oraz Wianki świętojańskie na Wiśle.

Majówka słuchaczy Uniwersytetu Jagiellońskiego miała miejsce w tym roku na Tyńcu z profesorami i udziałem rektora Łepkowskiego, który był tej zabawy inicjatorem. Zarządzał pochodem prof. Baraniecki. Panowie: Smolka, Rostafiński, Sokołowski mieli w drodze i na miejscu wśród ruin zamczyska prelekcje o dziejach grodu i opactwa Benedyktynów, oraz o cechach przyrodniczych tej okolicy. Młodzież na rękach nosiła swego ukochanego rektora, witając go najserdeczniejszymi wiatami, a w powrocie aż do samego Wawelu, niesiono przed nim starym obyczajem pochodnie. Od lat 30 nie było majówki, ta wznowiona będzie piękną pamiątką z czasu rządów prawdziwego przyjaciela młodzieży. Wyborna muzyka zachęciła też do wznowienia starożytnych śpiewów studenckich.

W sprawie pomnika księcia Józefa Poniatowskiego w Lipsku. Na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej w Krakowie, burmistrz d-r Słachtowski odczytał pismo od rady m. Lipska, odpowiadające na zwrócone do niej zapytanie z dnia 8 Maja r. b. w sprawie pomnika ks. Poniatowskiego. Pismo to mówi, że podane przez różne dzienniki wiadomości co do restauracji pomnika, nie są zupełnie prawdziwe. Miasto Lipsk nie mogło już obecnie podjąć restauracji pomnika z powodu wysokości kosztów, jakich wymagały pierwotne kosztorysy, obliczone na kwotę 4,028 marek. Rada m. Lipska wszakże przystąpi do odnowienia pomnika i jego ogrodzenia, gdy dokonane zostanie zredukowanie kosztorysów.

P. Poliński, dragoman przy byłem poselstwie

włoskiem w Afganistanie, odbył studia nad językiem Pusztu i napisał po niemiecku dykcyonarz z przekładem na francuzki tego języka, oraz dodał do niego studium etnograficzne nad charakterystyką Afganów i kontrastem ich z Hindusami. Pracę tę wykonał nasz rodak wspólnie z Jakóbem Darmesteter'em, który jako zamieszkały w Bombaju, obrobił dział indyjski. Rzec ma się ukazać w Wiedniu.

Pomnik dla Dominika Magnuszewskiego. W dniu 3 b. m., w Gwoźdźcu pod Kołomyją w Galicyi, poświęcono pomnik dla poety żołnierza Dominika Magnuszewskiego. Pomnik z piaskowca przedstawia kolumnę z orłem, emblematami i napisem. Zgromadzonych na tę uroczystość podejmowali miejscowi OO. Bernardyni.

Jak w świecie niby wielkiej naszej cywilizacyi, kwitnie sobie w najlepsze... bałwochwalstwo, dawało odbyte niedawno wesele *Adeliny Patti*, w wystawie i w uczczeniu śpiewaczki dochodzące do szczytu... głupstwa, mówiąc jasno i wyraźnie. Otóż gazety donoszą, że *diva* co po polsku tłumać się *Dziewa* na dni cztery przed weselem, śpiewała w Londynie przed słuchaczami w liczbie 20,000 zgromadzonemi z czego dochód wyniósł 2,500 fst. czyli 25,000 rs.

Ciekawa rzecz, co w tem dziwnego, że śpiewała i zarobkiem nie pogardziła? Na prawdę byłoby dziwniej, gdyby dla zysku spełnić tego nie chciała.

Dalej sprawozdanie mówi:

Zarząd kolei żelaznej w Great-Western, wiedząc do Craig-y Nos oddał na usługi znakomitej artystki ten sam wagon salonowy, którym jeździ zawsze księżę Walii. Na drodze z dworca do zamku witała Patti ludność wiejska. Od wtorku do czwartku bez przerwy przybywały z życzeniami różne deputacje. W środę odbył się ślub cywilny, przy którym świadkami byli pp. Johnston, fortepianista, Wilhelm Ganz długoletni przyjaciel *divy* i p. Magnon, wydawca „Figara”. Na żądanie p. Nicolini zastrzeżono w intercyzie ślubnej rozdział co do majątku. Nazajutrz, t. j. w czwartek, odbył się ślub kościelny; wzdłuż alei, wiodącej do kościoła, a wysłanej dywanami na przestrzeni 300 metrów, 3,000 dzieci utworzyło szpaler, dziewczątka w bieli słały młodej parze kwiaty pod nogi. Kościół był wspaniale przybrany kwiatami; ochotnicza orkiestra z Clamorgan odegrała na powitanie marsza Craig-y-Nos, skomponowanego na ten cel przez znaną z urody miss Maryę Antoninę Beaty Kingston, córkę redaktora „Daily News”. Księżę Walii z małżonką, królowa belgijska, księżna Newcastle, lord i lady Rothschild, lord Aberdeen, Krystyna Nilsson, oraz mnóstwo innych wielbicieli i przyjaciół *divy* nadesłało telegramy z życzeniami i cenne upominki. Na ślub cywilny przywdziała Patti tualetę niebieską krepową, pokrytą koronkami angielskimi i biały kapelusz z tiulu, wyszytego paciorkami z agrafą brylantową. Nazajutrz w kościele miała suknię jedwabną, również błękitnego koloru, przybraną białemi koronkami i kapelusz niebieski. P. Nicolini ofiarował małżonce swojej broszę brylantową, oraz medalion z szafirów i brylantów. *Diva* odtąd nosić będzie nazwisko Patti-Nicolini.

Wystawa rolnicza w zeszłą niedzielę zamknięta została. W dziale nagród za wzorowe gospodarstwo rolne, dostał:

Pan Stanisław Zawadzki, właściciel dóbr Kutno, za umiejętne spożytkowanie środków miejscowych i doprowadzenie przy ich pomocy majątku do kwitnącego stanu, medal złoty.

Pan Julian Dobrzański, właściciel dóbr Budziszowice w Skalbierskim, za praktyczne prowadzenie gospodarstwa i wyszukiwanie nowych źródeł dochodu, mianowicie rozwiniecie hodowli nasienia buraków cukrowych, medal złoty.

Pan Aleksander Rosman za wzorowy i gorliwy zarząd dobrami Kutno, potwierdzenie medalu złotego, przyznanego mu przez b. Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskim.

Podczas wręczania nagród rolnikom naszym tak zaszczytnie pracującym na niwie ojczyznej, publiczność zadowolenie swoje i sympatyę objawiała hucznymi oklaskami.

Z dziedziny humorystycznej.

Pisma humorystyczne wyścigi końskie bardzo niepokoją i szarpią na wszystkie strony, na co zwolennicy tych gonitw i totalizatora, rozczulając się wycierają... nosy i kiwają palcem... w bucie...

Jesteśmy na stanowisku, powiadają Kolce. Deszcz leje jak z cebra, lecz sport wymaga ofiar, zresztą jesteśmy pod parasolem. Wyjeżdża na tor czworonożna Mis-Fiks, parouszny Skik i jednoogoniasty The koń. Oho! przecież się znamy na wyścigowcach...

Din—din—din...

All right, vorwärts!

Puszczamy się, to jest oni puszczają się, a my stoimy pod parasolem.

— Przepraszam, pożycz mi pan rubla, chcę się odegrać na totalizatorze.

— Nie zawróć pan w głowie, po co pan mówisz takie gadanie?

— Szanowny panie Izraelu, pożycz bla...

Din—din—din!—all right—hurra!—Mis-Fiks wzięła.

— Zbrodniarzu żydnie, byłbym się odegrał, właśnie na nią chciałem trzymać!

— Ja panu co powiem, trzymaj pan sobie, ale puste kieszeń w garszcz.

— Pan mnie obrażasz, żądam satysfakcji!

— Nie zawróć pan głowy, ja nie chcę żadnej satysfakcji.

— Lichwiarz cebula!

— Odejdź goliec, bo zawołam stójkowe...

O! tak, sport ma swe uroczyste strony... Dlatego też jesteśmy na stanowisku, pomimo deszczu i potrzeby noszenia parasola.

Zbawienny wpływ wyścigów coraz się lepiej uwidocznia. Dawniej nie wiedzano nawet co to jest Totalizator, później zaznajomiono się z nim, a w tym roku tak spoufalono, że powstał już wściekli amatorowie, których mają wysłać do Pasteura według doniesienia Kolców.

Pan Fajans i p. Górnicki, oba przedsiębiorcy żeglugi parowej na Wiśle, zapragnęli porozumieć się z sobą, aby współzawodnictwo w korzyściach nie przyniosło im szkody. Zgoda jednak nie przyszła do skutku a stosunek z tego tytułu tak się zaostrzył, że jeden z nich ogłosił przez kuryery, że ze swym współ-

zawodnikiem zostaje na stopie niejako wojennej. Gdy więc statki zaczęły obsługiwać publiczność przy wycieczce na Bielany w dniu Zielonych Świąt, przy ostatnim powrocie do Warszawy, taka pomiędzy służbą jednego i drugiego statku powstała walka konkurencyjna, że spora liczba gości zmuszona została pozostać w miejscu i nocować pod gołym niebem. Słusznie też bardzo powiada Kuryer Świąteczny:

Powodowani zawsze zasadami ścisłej sprawiedliwości, czujemy się w obowiązku złożyć podziękowanie szanownym właścicielom statków parowych za to, że walka konkurencyjna skończyła się tylko na tem i że podczas niej nie utonęło kilku albo kilkunastu marynarzy pasażerów.

Wpadł nam w ręce list miłosny pewnego młodego człowieka, za którym wszystko przemawiało: młodość, uroda, statek, tylko zawzięcie walczył przeciw niemu... brak oleju w głowie... Oto wierna jego kopia:

List miłosny.

Szanowna pani!

Nie ośmielam się... ale... ale muszę... bo czuję wiele a bardzo wiele, bo od czasu widzenia się z panią wstrzymać się nie mogę. Lube aniele!—Nie gniewaj się pani że się tak otwarcie wyrażam, ale od chwili jak sposobność miałem bliżej pani poznać w całym blasku i pańskich przymiotów, obudza pani miłość we mnie, którą dla pani moje serce nieustannie pała. Kocham panie tak mocno i wiernie że nie w świecie nie zdola zmienić mego uczucia.—Powtarzam o tej błogiej chwili jak panią poznałem, całkiem inaczej nauczyłem się sądzić o małżeńskim i domowym szczęściu, a przekonanie że połączony z panią będę najszczęśliwszy, więc życzenie posiadania pańskiej ręki coraz gorętszem się staje i dłużej wstrzymać się byłoby nad moje siły, i z tą otwartością o której ośmielałem się zapytać cię droga pani, czy mogę liczyć na pańską wzajemność?—Odważ się pani żyć z człowiekiem który panią od chwili poznania kocha i bez trosk byłby zapewnia a którego największe dobro i całe szczęście pani stanowić będziesz.—Rozstrzygnij więc pani o losie moim a pełen nadziei i życia warunkach pani mnie znajdziesz, pozostaje z uczuciem miłości i uwielbienia...

Słynna artystka Teresina Tua, koncertując raz w Helsingforsie tak zachwyciła a raczej ogłupiła złotą młodzież, że ta przy powrocie jej do domu, zaprzęgała się sama do powozu i zamiast koni, zawiozła ją do hotelu. Na drugi dzień przy obiedzie składkowym w restauracji, młodzieńcy owi znaleźli na talerzu garść owsa a na poręczy zawieszoną wiązkę siana.

W zakończeniu rzucamy pytanie, "dlaczego w Warszawie w wielu wodociągach brak wody, chociaż gospodarze płacą za nią należność do kasy magistratu a lokatorzy na to się składają?—Czyby to była nowa pozytywna nauka, darcia łyka a bzik w obdzieranych bez słówka sarkania?

— Pst!—rozumiesz?

— Ba! przepraszam więc!

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie strojne letnie. Suknia i stanik z jasnego koronkowego materiału na jedwabnej podszewce. Krótki, otwarty kaftaniczek aksamitny bez rękawów haftowany złotem i jedwabiem. Kokardy odmiennego od sukni koloru zdobią tunikę. Kapotka słomkowa przybrana szeroką wstążką i rozetami z pukielków z wąskiej wstążki.

Ubranie spacerowe. Vêtement z czarnej jedwabnej materii przybrane pasmanterią z perelek. Kamizelka i przód sukni z jasnej wełnianej krepy. Kapelusz okrągły słomkowy z rondkiem z tyłu podniesionym, przybrany słonecznikami i kokardą z wstążki.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samymi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej skutecznie za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80.

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak **Tygodnika Mód** jak i **Przyjaciela Dzieci**, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po niższej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 15. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobroduszością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr 3.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 26 wyszedł z druku i zawiera:

Odsiecz Wiednia (z drzeworytem). — Najpiękniejsze widoki południowego brzegu Krymu (drzeworyt). — Siostrze (wiersz). — Książę i biedak. — Czyny nauczające. — Kapitan Ferragus. — Z nauki. Dodatek: Z pamiętników wędrowca (z drzeworytem). — Pokora (wiersz). — Przygody Loli. — Nieszczęśliwa Marylka (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

Do dzisiejszego Nru **Tygodnika** dołącza się rycina kolorowa.



Pl. 650.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.

